

Czesław Walesa

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI (EM.)

DOI: [HTTP://DX.DOI.ORG./10.15633/9788374389327.13](http://dx.doi.org/10.15633/9788374389327.13)

Moja rodzina i dzieciństwo na sowieckim zesłaniu

O! dzięki Tobie za Pa ń s t w o – boleści,
I za męczeńskich – k o r o n rozmnożenie,
I za wylaną czarę s z l a c h e t n o ś c i
Na lud, któremu imię jest – cierpienie,
I za otwarcie bram... nieskończoności!

(z wiersza C. K. Norwida pt. *Psalm wigilii*)

Dlaczego moim i mojej rodziny udziałem była Syberia i sowieckie wygnanie? Ponieważ mój dziadek był osadnikiem wojskowym. Za wzorową służbę w wojsku Józefa Piłsudskiego otrzymał na kresach przedwojennej Polski i na terenie dzisiejszej Białorusi w Osadzie Jarniewo (woj. Grodno) duży obszar ziemi do zagospodarowania. I nic poza tym. Dziadek, jako specjalista od fortyfikacji wojskowych, zbudował na prędcie ziemiankę, czyli pomieszczenie pod ziemią. Tu mieszkał przez trzy lata z rodziną: ze swoją żoną Agnieszką i ośmiorgiem dzieci – do czasu ukończenia domu i pomieszczeń gospodarczych. Ziemię należało regularnie obsiewać, a plony w porę zbierać. Aby sprostać tym wszystkim zadaniom, trzeba było wstawać o brzasku i pracować do zmroku.

Mój ojciec Jan, gdy w 1933 roku ożenił się z córką miejscowego leśniczego Emilią (oboje byli w wieku 30 lat) – otrzymał od swojego ojca przypadającą mu z prawa dziedziczenia ziemię pod uprawę, a od ojca mojej mamy drewno i fachową pomoc w budowaniu domu i pomieszczeń gospodarczych. Co półtora roku rodziło się dziecko (ja, jako pierworodny, urodziłem się 6 czerwca 1934 roku). Praca na polu, w obejściu i w domu była wyczerpująca: od brzasku do nocy. Ale jej efekty były zadziwiająco pomyślne, głównie dzięki swoistej inteligencji i przezorności mojej mamy.

Od kwietnia 1939 roku podejmowałem regularne zajęcia gospodarcze, takie jak: wypas gęsi, doprowadzanie krowy na wspólne pastwisko, posługiwanie rodzeństwu (gdy rodzice wychodzili wcześniej do pracy, zamykali nas w stodole z ogromną patelnią jajecznicy i czymś do picia).

Skończyła się faza morderczego dorabiania się. Przyszedł pierwszy okres zimowego wytchnienia i spokoju. Rodzice mogli zająć się wychowywaniem swoich dzieci. Mój ojciec nawet robił dla mnie pierwszą zabawkę: dziecinny wózek. Gdy była gotowa pierwsza część tej zabawki, a mianowicie drewniane kółko – wczesnym rankiem 10 lutego 1940 roku rozległo się łomotanie do drzwi. Zjawili się dwaj rosyjscy żołnierze, którzy według znanej procedury mieli nas dostarczyć do wagonu zsyłkowego w Słonimie, odległym o 16 km od miejsca naszego zamieszkania. Należało się szybko spakować. Jeden z żołnierzy stał z karabinem przy unieruchomionym ojcu, tak że cały ciężar pakowania spadł na mamę. A był wtedy mróz czterdziestostopniowy. Mama mimo swojej inteligencji praktycznej i doskonałej sprawności fizycznej – momentami nie wiedziała, co czynić. Należało np. zabrać ze sobą wiadro, które wtedy było napełnione mlekiem. Mama zatrzymała się bezradnie przed wiadrem. A wtedy usłyszała komendę żołnierza: „Mleko wylej na podłogę, bo to wszystko już nie twoje”.

Najważniejsze były dzieci: Antoś w wieku dwóch i pół lat, Marysia: cztery lata i ja pięćcioipółletni. Na tak wielki mróz należało je dobrze ubrać i zabezpieczyć przed odmrożeniem w podróży. Mimo matczynej

zapobiegliwości – moja siostra w czasie podróży saniami odmroziła sobie rękę. A ja jechałem w poczuciu grozy i w przeświadczeniu, że dzieje się coś strasznego. Zdążyłem zabrać wystrugane dla mnie przez ojca kółko. Ukryłem je „za pazuchą”. Było dla mnie łącznikiem między światem dziecięcego ładu, a aktualnymi wydarzeniami zagłady. Co pewien czas je dotykałem. To kółko od niedokończonej zabawki stało się bowiem zapewnieniem minimalnej normalności w świecie, który stał się niesamowity i nieprzewidywalny.

W bydlęcym zsyłkowym wagonie pełnym modlitwy, cierpienia, rozpacz i umierania, które odbywało się bez ludzkiej godności – szczególną troską otaczano dzieci. Rodzice (zwłaszcza matki) starali się nawet o to, aby dzieci miały dostęp do jakiejś zabawy, wiedząc, że jest to konieczne do ich życia i rozwoju. Pewnego razu np. urządzono konkurs najpiękniejszej panny wagonu. Dzieci (a wśród nich i ja) stanowiły zespół sędziowski. Było dużo uciechy i śmiechu i jakieś zanurzenie się w świat dziecięcej bez troski. Zasadniczo jednak dzieci przebywały w świecie ludzi dorosłych. Uczestniczyły w ich tragicznym życiu. Podzielały ich głębokie zmartwienia i troski. Byłem też świadkiem wzruszającej solidarności osób dorosłych oraz ich wzajemnej pomocy świadczonej w różnych nieszczęściach i trudnościach.

Po 12 dniach jazdy pociągiem przybyliśmy do miejsca przeznaczenia: do obozu na Syberii europejskiej w okolicach miasta Wołogda. Po kilku miesiącach przewieziono nas do niezbyt odległego Miczyńskiego Osiedla. Mieszkaliśmy tu w drewnianym baraku, straszliwie zapluskwionym. Ojciec pracował w tajdze przy wyrębie drzew. Pomagała mu żona polskiego oficera, niemal niezdolna do pracy fizycznej. Razem uzyskiwali bardzo niskie wskaźniki wyznaczonej normy, co dawało nędzne zarobki.

Brygadzysta pewnego razu zobaczył moją mamę przy pracy fizycznej. Był zdziwiony jej siłą i zręcznością. Zaproponował wtedy, by moja mama była pomocnicą ojca przy wyrębie drzew. A ponieważ przy trójce małych dzieci

była zwolniona z obowiązku pracy zesłańców – cały urobek szedł na ojca. Dawało to znaczne przekroczenie normy, a dzięki temu – dość wysoki zarobek. Gdy rodzice pracowali jednocześnie, na mnie spadały obowiązki opiekuńcze wobec mojej siostry Marysi i brata Antosia.

Mama, widząc, że nieźle sobie radzę w wielu trudnych sytuacjach życiowych – zabierała mnie ze sobą latem na wyprawy w głąb tajgi. Zbieraliśmy jagody, maliny i grzyby. Pewnego razu zabłądziliśmy. Błąkaliśmy się w bezkresnej tajdze nieświadomi kierunku, w rosnącym lęku i w poczuciu grozy. Wreszcie doszedł do nas z oddali odgłos bardzo ciężkiego samochodu. Odzyskaliśmy świadomość kierunku, a za nim doszło ocalenie.

Tak upłynęły nam prawie dwa lata życia na zesłaniu. I wtedy gdzieś tam daleko odbyły się pertraktacje gen. Władysława Sikorskiego z odpowiednimi władzami ZSRR (tzw. układ Sikorski–Majski). W wyniku tego uzyskaliśmy pozwolenie na wyjazd z miejsca dotychczasowego pobytu. Przygotowaliśmy się do podróży bardzo starannie, gromadząc żywność (głównie suchary) i inne rzeczy.

Wyruszyliśmy w podróż 17 listopada 1941 roku w południowo-wschodnim kierunku ZSRR (jedynie wówczas nakazowo możliwym). Po trzech dniach dojechaliśmy pociągiem osobowym do Kirowa, z całym dobytkiem, który mieścił się w pięciu workach. Długo czekaliśmy na stacji. Chroniliśmy swój dobytek przed złodziejami, niemal leżąc na workach.

Mimo udręki i licznych niebezpieczeństw byłem ciekaw świata i dlatego przy nieuwadze rodziców, pilnujących worków z dobytkami – oddaliłem się, aby penetrować okolicę. Zabłądziłem i nie potrafiłem powrócić do swojej rodziny. Matka, zaniepokojona moją długą nieobecnością, prosiła ojca, aby wyruszył na poszukiwanie. Sama była zajęta pilnowaniem mojej siostry Marysi i mojego brata Antosia – no i pięciu worków. Jednak dwa worki zniknęły. Straciliśmy więc niemal połowę zasobów, potrzebnych do przeżycia. Gdy ojciec powrócił ze mną, nastąpił wybuch radości, pokropionej łzami żalu za utraconym mieniem.

Z Kirowa czekała nas długa i bardzo trudna podróż transportem, składającym się z „bydlęcych” wagonów, w nieznanym dla nas kierunku i czasie trwania (po zakończeniu okazało się, że prawie sześć tygodni). Nasz pociąg niekiedy zatrzymywał się w sposób niespodziewany. Mężczyźni wyruszali wtedy na poszukiwanie wody i jakiegoś opału do tzw. „kozy”, czyli żelaznego piecyka, który stał w środku wagonu. Wielu z nich nigdy nie powróciło z takich wypraw. Głównie z powodu bezwzględności uzbrojonych strażników transportów wojskowych. Strzelali oni bez ostrzeżenia do osób, które znalazły się w pobliżu takiego transportu.

Także mój ojciec pozostał z grupą mężczyzn na jednej z większych stacji kolejowych, gdyż nasz transport ruszył nagle i niespodziewanie w nieznanym kierunku. Natychmiast wśród nich powstał dobrze zorganizowany zespół, który zdobył informację, że nasz transport odjechał w kierunku Taszkientu i że w tym samym kierunku wkrótce pojedzie pociąg osobowy. Potrzebna była jeszcze przemyślność i zdeterminowanie, aby bez biletów i bez pieniędzy dojechać do Taszkientu. Jakaż była radość nas wszystkich, gdy ojciec się odnalazł i dołączył do rodziny.

W czasie naszej długiej podróży nękały nas liczne cierpienia, udręki i niebezpieczeństwa. Do najbardziej dokuczliwych należały wszy. Było ich tak wiele, że na postojach strzepywano je z koszuli przez otwarte drzwi wagonu. Zdarzały się także różne nieszczęśliwe wypadki. Na przykład na nogę mojego brata, Antosia, wylał się wrzątek. Noga się nie goiła. A pod koniec podróży dołączyła się odra. Antoś coraz bardziej słabnącym głosem wołał: „Mamo, mammo, czy jesteś przy mnie?”.

Dnia 22 grudnia 1941 roku przyjechaliśmy do miasteczka Czust w Tadżykistanie. Był to kres naszej podróży kolejowej. Przed nami była jeszcze krótka podróż samochodem do kołchozu. Czekaliśmy na ten samochód na stacji kolejowej przez dwa dni. Dnia 24 grudnia osiągnęliśmy całkowity kres naszego udręczonego wędrowania. A był to kołchoz Kujbyszew, a w nim lepianka zwana świetlicą. Tu zakwaterowano nas tymczasowo. Nikt

nie zapytał, czy mamy coś do jedzenia i na czym się położyć. A była to Wigilia Bożego Narodzenia. Tak się złożyło, że nie mieliśmy już nic do jedzenia. Należało więc jak najszybciej ułożyć dzieci do snu na glinianej podłodze, przykrytej matą. Po północy, już w dzień Bożego Narodzenia, zdarzyło się trzęsienie ziemi. Nawet nie wiedzielibyśmy o tym – mimo dziwnych doznań i brzęku pustych naczyń – gdyby nie poranna muzułmańska procesja tu-byłców. Ktoś z nich podbiegł do naszej lepianki i, gwałtownie gestykulując, na migi rozkazał nam wyjść na zewnątrz.

Tymczasem Tosiek dogorywał – właśnie w dzień Bożego Narodzenia. Mama zaniósła go wycieńczonego chorobą i głodem do odległego o 6 km szpitala w Czust. Pozostała przy nim. Umierał na jej oczach. Martwe ciało wrzucono do wspólnego dołu i posypano wapnem. Taki był przepis.

A nas nękał głód. Chyba najbardziej cierpiał ojciec. Był w tej sytuacji zupełnie bezradny. Ja zaś wychodziłem z lepianki i wędrowałem w różne miejsca, aby zdobyć coś do zjedzenia. Tu i ówdzie trafiałem na jakieś małe resztki pokarmowe: np. ogryzek jabłka czy pestka moreli, którą rozbijałem kamieniem, aby wydobyć z niej jadalne ziarno. Mama zdobyła gdzieś „makuchę”, czyli wyciśnięte nasion bawełny (przeznaczone do karmienia krów). Ugotowała z tego coś w rodzaju kaszy. Dowiedział się o tym przewodniczący kołchozu. Przyszedł do naszej lepianki i zwrócił się do mamy: „Co zrobiłaś z makuchą?”. Mama odpowiedziała: „Ugotowałam”. „Pokaż!” – krzyknął. A po obejrzeniu ugotowanej makuchy dodał: „Wylej to natychmiast! Od tego jedzenia możecie umrzeć”. Mama powiedziała: „Wszyscy jedliśmy”. Przewodniczący, jako odpowiedzialny za swoich kołchoźników, przypisał nam wtedy niewielką ilość mąki, która przy bardzo oszczędnych i głodowych porcjach starczyła na kilkanaście dni.

Gdy znów nadeszły dni głodu, mama wyruszyła do miejscowych Tadżyków (mimo iż nie znała ich języka), aby prosić ich o coś do zjedzenia. Pukała do drzwi ich domów, wyciągała rękę, płakała i pokazywała na migi, że prosi o jedzenie. Przyniosła wtedy pożywienie na kilka dni i nawiązała subtelną

nić porozumienia. Z niektórymi Tadżykami z kołchozu nawiązała układ typu handlu wymiennego: ocalałe materiały mama wymieniała na żywność. Oprócz tego przyjmowała do przędzenia wełnę z owiec i wielbłądów – także za żywność. A przędła metodą kądzieli za pomocą wrzeciona samodzielnie wykonanego z miejscowego patyka.

Niekiedy wydawało mi się, że mama w ogóle nie śpi. Gdy układałem się do snu, mama przędła albo coś przyrządzała, lub odmawiała różaniec. Gdy budziłem się rankiem, działo się to samo: mama przędła albo coś przyrządzała, lub odmawiała różaniec – jak gdyby nieustannie kontynuowała czynność z wieczora. Sama mówiła, że noc jasna i księżycowa jest dobra do przędzenia, a noc ciemna – do odmawiania różańca.

W lutym, po niemal dwumiesięcznej męczarni w Tadżykistanie, mój ojciec odszedł do Armii Andersa. A do nas los się uśmiechnął, bo wkrótce przeprowadziliśmy się do domu sekretarki kołchozu. Zamieszkała też z nami wdowa o nazwisku Rozwód z dorastającą córką Bronią.

Sytuacja nasza unormowała się i uległa poprawie. Mama wychodziła codziennie do pracy na bezkresnych polach bawełny lub pszenicy. Często zabierała mnie ze sobą. Świadczyłem tam różne przysługi: przynosiłem mamie wodę do picia z pobliskiej rzeki, szukałem w okolicy dojrzałych owoców, zrywałem powój dla krowy właścicielki domu, w którym mieszkaliśmy. W niedzielę po żniwach chodziłem z mamą zbierać kłosa: na bezkresnym polu, w palącym tadżyckim słońcu, od rana do wieczora. Było to dla mnie zajęcie okropne: wprost nie do wytrzymania. Jednak nie płakałem, nie buntowałem się, lecz robiłem, co mogłem.

Od września 1942 roku chodziłem z moją siostrą Marysią do tadżyckiej szkoły. Uczniowie rozmawiali między sobą po tadżycku, ale językiem nauczania był język rosyjski. Lubiłem tę szkołę i dobrze się w niej czułem. Byłem chwalony i akceptowany przez nauczycieli. Miałem dobre układy z uczniami. A oprócz tego codziennie otrzymywałem w szkole 50 g chleba (w dniach małej frekwencji nawet 100 g). Dla dzieci tadżyckich była to rzecz

o małym znaczeniu, a dla mnie coś bardzo ważnego. W tej szkole nie było prawie żadnej nauki.

Języka rosyjskiego i tadżyckiego nauczyłem się łatwo, szybko i bez wysiłku: nie wiadomo kiedy, gdzie i jak. Marysia także. Niekiedy rozmawialiśmy ze sobą po tadżycku, aby mama nie wiedziała, o czym mówimy. Równie szybko nauczyłem się odróżniać rośliny jadalne od niejadalnych. „Zielsko” jadalne można było zbierać w strumieniach niemal przez cały rok, a na polach – w niektórych okresach (np. lebiode). Na przednówku przynosiłem mamie dwa naręcza „zielska”, mówiąc: „To będzie na zupę, a to na placki”. Oprócz tego niekiedy udawało mi się wspomóc mamę finansowo. Przygotowywałem np. wiązanki suchego drewna na opał i sprzedawałem je na targu. Zdobycie tego drewna nie było dla mnie łatwe. Wchodziłem z siekierą na drzewa przydrożne lub rosnące tu i ówdzie na polach kołchozowych. Obcinałem suche gałęzie, a następnie sporządzałem wiązanki na sprzedaż.

Wiele rodzin żołnierzy Armii Andersa wyjechało ze Związku Radzieckiego do Iranu i dalej (był to czas otwarcia granic dla osób zaproszonych). Moja rodzina (mama, siostra i ja) także miała wyjechać na początku kwietnia 1943 roku. Sama myśl o wyjeździe do krajów, gdzie przebywa ojciec lub w ogóle w „tamte” strony dodawała nam ochoty do życia i sprawiała, że trwaliliśmy w uniesieniu ducha. Oddaliśmy sąsiadom wszystko, co mogłoby nam przeszkadzać w dalszej podróży, i w wyznaczonym dniu przybyliśmy na wskazane miejsce, którym była stacja kolejowa w Czust. Czekaliśmy tam cztery dni. Spaliśmy na ziemi. Zjedliśmy zabrane na drogę zapasy. W końcu, akurat w dzień Wielkanocy, dowiedzieliśmy się, że nie możemy wyjechać, gdyż wyjazd polskich rodzin został wstrzymany. Musieliśmy wracać z powrotem do kołchozu.

W jednej chwili wyciekła wtedy z nas witalność i uniesienie ducha. Wszystko stało się okropne i pełne udręki. Nawet Święto Wielkanocy nie dawało ani pociechy, ani ukojenia. Słońce i żar tego dnia były nie do zniesienia.

Mama znalazła człowieka z osiołkiem (to było miejscowe „taxi”) do przewiezienia naszych podróżnych bagaży. Ruszyliśmy w drogę powrotną w ów

upalny wielkanocny dzień. Przodem szedł rosły mężczyzna, który trzymał w ręku przywiązany do osiołka sznurek. W ślad za mężczyzną dreptał miarowo – objuczony osiołek, wzbijając kopytami kurz na pyłnej drodze. Za osiołkiem podążaliśmy my: moja mama, Marysia i ja. Szlochaliśmy z żalu i rozpaczy. Łzy żłobiły bruzdy na pokrytej glinianym kurzem twarzy.

Wróciliśmy do tego samego miejsca i do tych samych, co przedtem zajęć, ale pozbawieni wielu potrzebnych rzeczy, jak na przykład siekiery, garnka, mojego płaszcza, który został skradziony na stacji kolejowej w Czust i innych, niezbędnych do ówczesnego życia przedmiotów.

W jakimś związku z układem Majski–Sikorski, powstaniem Armii Andersa i polepszeniem stosunków między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej – było utworzenie polskiego Domu Dziecka zwanego Sierocińcem w Namanganie w Uzbekistanie w jesieni 1943 roku. Marysia i ja otrzymaliśmy zaproszenie do tego Sierocińca.

Po wielu naradach wśród polskich zesłańców, a były to głównie kobiety – mama zdecydowała, że Marysia i ja spędzimy w Sierocińcu sześć miesięcy, a jeżeli będzie dobrze, to dłużej. Jednakże Marysia źle się tam czuła. Często chorowała. Mama zabrała ją więc do siebie. A ja czułem się tam raczej dobrze, mimo że porcje żywnościowe były głodowe. Niekiedy po bardzo chudym śniadaniu, gdy był czas wolny, nie miałem ochoty do jakiegokolwiek zabawy ani do innej formy aktywności – stałem lub siedziałem pod murem Sierocińca i czekałem na obiad. Najtrudniejsze wydawały się miesiące od początku marca do końca kwietnia. Pragnienie gasiłem wodą czerpaną dłońmi z niewielkiego stawu na dziedzińcu Sierocińca. Woda w tym stawie i w wąziutkim kanale zasilającym ten staw roiła się od drobniutkich żyjątek, widocznych gołym okiem.

W Sierocińcu było dużo momentów przygody i niezwykłych wydarzeń. Najstarsi np. chłopcy (16–18 lat) co pewien czas wyruszali w głąb pustyni (ok. 20 km) w poszukiwaniu żółwi. Po udanym polowaniu przynosili je w workach na plecach. W Sierocińcu odbywał się rytuał gotowania żółwi.

Wszystkie dzieci w tym jakoś uczestniczyły. Ceremoniał kończył się tym, że każdy otrzymywał porcję ugotowanego zółwia. A później bohaterzy wyprawy opowiadali o swoich przygodach, trudach i niebezpieczeństwach.

Początkowo Marysię i mnie (a później tylko mnie) dwa razy w miesiącu odwiedzała mama. Odległość od naszego domu w kołchozie do Sierocińca wynosiła prawie 50 km. Mama pokonywała tę odległość pieszo. Wyruszała ze swego domu tuż po północy. Przychodziła do Sierocińca przed południem. Przynosiła coś do zjedzenia (najczęściej „lepioszki”, czyli placki). Spędzała ze mną dwie lub trzy godziny. Porozmawiała i coś spożyliśmy. Wracała także pieszo. Ok. północy była w swoim domu. Rankiem zaś wyruszała do pracy na polu kołchozowym. Wyprawy mamy ze swego domu do Sierocińca były wielkim wyczynem, wymagającym szczególnego wysiłku i odwagi. Krążyły bowiem wieści o różnych niebezpieczeństwach na drodze z Czust do Namanganu. Jedna np. spośród kobiet, która niosła mały bochenek chleba dla swych dzieci w Sierocińcu, spotkała na drodze kilku mężczyzn, którzy zorientowali się, że ma przy sobie chleb. Nie chciała im oddać chleba, krzycząc, że to dla dzieci. Skończyło się to dotkliwym pobiciem, niemal zabiciem kobiety.

Po pierwszej wizycie mamy zjadłem kilka kęsów przyniesionych dla mnie placków, a resztę chciałem przechować na później. Gdy mama odeszła i wracałem z plackami do wspólnego pokoju – nagle wyłoniła się gromada dzieci, z których każde prosiło: „Czesiek, daj ugryźć! Chociaż raz!”. Do pokoju już nic nie doniosłem. Ani okruszka!

Mój pobyt w Sierocińcu – zwłaszcza okresy od przełomu wiosny do wczesnej jesieni – łączył się z pełnym przygód „zdobywaniem” pożywienia. Pomidory np. zdobywałem na polu, należącym do pobliskiego więzienia. Starsi i doświadczeni chłopcy ostrzegali: „Uważaj, bo strażnik strzela czymś takim, że się po tym nie chce goić”. Ale wyruszałem. Przez wyłam w murze spadałem na ziemię. Potem czołgałem się między krzakami pomidorów. Wracałem z pełnym zanadrzem. Było tam tyle pomidorów, ile zmieściło się

pod zaciśniętą paskiem koszulą. Orzechy zdobywałem z dość oddalonego wielkiego i dobrze strzeżonego sadu. Podejmowałem tam wyprawy nocą. Nie wszystkie przedsięwzięcia typu „zdobywanie” i „myszkowanie” kończyły się sukcesem. Z pewnej wyprawy wróciłem pobity – pełen siniaków, zadanych silną ręką właściciela ogrodu, Rosjanina, funkcjonariusza NKWD.

Około dwa razy w miesiącu wychodziłem z grupą chłopców na wycieczkę (za pozwoleniem wychowawczynie z Sierocińca). W grupie musiał być ktoś ze „starszaków”, a najlepiej 18–letni Miodona, który w razie konfrontacji kładł przeciwnika jednym ciosem swojej potężnej pięści. Niekiedy na naszej drodze pojawiała się grupa wyrostków rosyjskich (synowie urzędników rosyjskich i funkcjonariuszy NKWD) lub chłopców mużułmańskich. Konfrontacja rozpoczynała się od pytania z ich strony: „Czy macie wśród siebie Żyda?” (w Sierocińcu było kilku Żydów). Odpowiadaliśmy chórem: „Nie ma”. A oni kontynuowali: „Ale ten, który się chowa, wygląda na Żyda” (rozpoznanie było trafne). I zbliżali się do niego. Wtedy występował Miodona z okrzykiem: „Odejdź”. Konfrontacja kończyła się powaleniem kilku polujących na Żyda wyrostków. Wśród nich niekiedy znajdowały się osoby bardzo niebezpieczne, np. z oprawionymi żyłkami, którymi usiłowali dosięgnąć oczu. Ale Miodona radził sobie i z takimi.

W Sierocińcu panowały swoiste prawa i obyczaje, np. prawo solidarności, gdy występowaliśmy na zewnątrz – z bezwzględną zasadą ochrony Żyda. Zdobytym pożywieniem (np. morele, pomidory, orzechy) należało się dzielić, rozpoczynając od najbliższych (u mnie: siostra i koledzy z sąsiednich łóżek w sypialni). Wychowawcy „przymykali oczy” na sposoby i zasięg zdobywania pożywienia. Gdy jednak sąsiad Sierocińca przybył ze skargą, że rozpoznane i wskazane dziecko kradło owoce, które on suszył na swoim dachu – to kierowniczka Sierocińca wymierzała mu karę, np. obowiązek czyszczenia drewnianej ubikacji w ciągu kilku (np. siedmiu) dni. Niektóre prawa były niesprawiedliwe i przykre. Gdy np. na wycieczce znalazłem scyzoryk i dowiedział się o tym chroniący nas starszak (nie Miodona), to wtedy

prosił mnie, bym mu go oddał. Nie chciałem mu oddać. Wtedy on mnie nękał i dokuczał tak długo, aż przyniosłem mu ten scyzoryk „dobrowolnie”. Ogólnie rzecz biorąc, lepiej się powodziło w Sierocińcu starszym chłopcom. Inne „prawa” dotyczyły dziewcząt. Z racji żeńskiego składu wychowawców były one bardziej chronione, zwłaszcza w okresie trudności intymnych. Panie wychowawczynie wykazywały wtedy potrzebne zrozumienie, empatię i troskę.

Od września 1944 roku do kwietnia 1946 funkcjonowała w Namanganie „szkoła polska”. Nauczycielkami były wychowawczynie z Sierocińca. Podobnie jak każdy uczeń z Sierocińca otrzymałem cienki zeszyt, ołówek i gumkę. Zeszyt ten służył do wszystkich przedmiotów. Gdy został zapisany do końca, należało wszystko powycierać gumką i zapisywać od nowa.

Lubiłem szkołę, nauczycielki i to wszystko, czego one nauczały. Wiadomości o Polsce pochłaniałem z wielkim wzruszeniem. Otrzymywałem nagrody za dobre postępy w nauce. Jedna z nauczycielek chciała mnie adoptować, aby mnie „wykierować na ludzi”. Jednak moja mama stanowczo się temu sprzeciwiła.

Szkoła mieściła się w dwóch wynajętych pokojach poza zabudową Sierocińca. Samo przejście do szkoły i powrót były atrakcyjne, choć niekiedy niebezpieczne – ze względu na grasujące bandy wyrostków. Dlatego też kierownictwo Sierocińca zatrudniło dobrze zbudowanego i silnego Uzbeka, który pełnił funkcję ochroniarza szkolnego i uczestniczył w zakupach, które najczęściej odbywały się na targu.

Panie wychowawczynie umiejętnie motywowały nas do nauki szkolnej. Z braku wszelkich przyrządów do nauczania panie nauczycielki własnymi umiejętnościami, gorliwością i świadectwem życia – uzupełniały niedostatki techniczne szkoły. W takiej oto szkole ukończyłem dwie klasy. Potrafiłem już pisać i płynnie czytać.

Nękały nas różne choroby, np. od czasu do czasu ktoś z nas (ja także) był chory na czerwonkę. Wiosną 1944 roku, gdy jako prawie dziesięcioletni

chłopiec wyruszałem z mamą na kołchozowe pole – nagle zaskoczył mnie atak zimnicy malarycznej. W fazie dreszczy – położyłem się na ziemi w ostrym słońcu. Odczułem ulgę i zemdlałem. Wtedy mama, biegnąc z całych sił, zaniosiła mnie do pobliskiej rzeki. Odzyskałem przytomność, ale musiałem iść do szpitala na leczenie. Mimo szpitalnego leczenia – malaria powróciła.

W jesieni 1944 roku, gdy przebywałem w Sierocińcu, mama ciężko zachorowała na tzw. malarię tropikalną. Leżała w szpitalu i była już bliska śmierci. Wtedy jeden z Polaków przyszedł do Sierocińca w Namanganie, aby powiadomić mnie, że moja mama umiera. Chciałem natychmiast wyruszyć do szpitala, ale ów mężczyzna powiedział, że on nie może w ciągu jednego dnia przejść więcej niż 50 km. Wczesnym więc rankiem wyruszyliśmy z Namanganu do Czust. Po przejściu ok. 16 km – na skutek wadliwego obuwia – miałem jedną nogę we krwi. Usiedliśmy więc przy drodze, aby czekać na „okazję”. Kierowcy pobierali opłatę, która niekiedy przewyższała możliwości finansowe kołchoźnika-zesłańca. Po kilku godzinach czekania nadjechała ciężarówka do Czust z wolnymi miejscami „na pace” i ceną do wytrzymania. Po kilku godzinach znalazłem się przy szpitalu, a po odszukaniu właściwego okna – wkrótce znalazłem się przy mamie przez to okno.

Leżała w sali dla zakaźnie chorych, gdzie był zakaz odwiedzania. Gdy zobaczyłem wychudłą, wycieńczoną i do skóry ostrzyżoną mamę – wybuchnąłem głośnym płaczem. Mama uspokoiła mnie konkretną prośbą o rosół z kury. Powiedziała, że jest bardzo głodna, a tym, co by najchętniej zjadła – jest rosół z kury. Ta prośba niemal mnie uskrzydliła: dodała sił, wnikliwości w rozeznawaniu sytuacji i popchnęła do działania. Niemał biegiem, boso przybyłem do naszego kołchozowego mieszkania, gdzieś „zdobyłem” kurę i poprosiłem panią Rozwód o przygotowanie rosółu dla mamy. Jeszcze tego samego dnia przyniosłem mamie rosół wraz z kurą.

Każdego dnia byłem u chorej mamy (zawsze przez okno) – niekiedy nawet kilka razy dziennie. Przynosiłem jej takie pożywienie, jakiego sobie

życzyła. Szybko wracała do zdrowia. Po tygodniu opuściła szpital. Po szpitalu nie powróciła już do pracy na polach kołchozu, gdyż została przyjęta do fabryki wyrobu worków płóciennych.

Mama od dziecka zajmowała się tkaniem. Wyrabiała więc sześć razy więcej płótna workowego niż przeciętna tkaczka z fabryki. Kiedy nadszedł czas wyjazdu do Polski, dyrektor prosił mamę, by pozostała u niego w fabryce. Obiecywał różne rzeczy, m.in. podwyższenie pensji i lepsze mieszkanie. Mama odpowiedziała mu bez wahania, że chce jechać do Polski, do swojej ojczyzny. Wojna się skończyła w 1945 roku, ale do Polski wolno nam było wracać w 1946. Ja wyruszyłem na początku maja 1946 roku transportem przeznaczonym dla dzieci z Sierocińców Uzbekistanu i sąsiednich republik. Mama zaś i Marysia jechały do Polski następnym transportem, przeznaczonym dla rodzin polskich z Tadżykistanu (na Sybir nas wywozili w lutym, a do Polski wracaliśmy w maju).

Podróż do Polski odbywała się w poczuciu szczęścia. Była cudownie piękna. Pociąg pędził przez stepy, które o tej porze były pełne kwiatów, susłów i różnych form życia. Rzadko się zatrzymywał. Z okien wagonu roztaczały się bajecznie kolorowe i piękne widoki pełnej i bujnej wiosny.

Gdy znaleźliśmy się na terenie Polski, pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji. Miejscowi ludzie dowiedzieli się, że przybył z daleka transport dzieci polskich zesłańców. Natychmiast zorganizowali się i przynieśli nam chleb, mleko, okraszone ziemniaki, różne kasze ze skwarkami, warzywa i specyficzne wyroby własnej kuchni. A czynili to z taką miłością, że wszystko stawało się czymś nadzwyczajnym: zarówno rzeczy do jedzenia, jak i sposób ich podania. Już wiedzieliśmy, że jesteśmy w Polsce, a ci ludzie z darami – to Polacy.

Końcową stacją naszej podróży do Polski był Gostynin, gdzie mieścił się Dom Rozdzielczy. Tu przyjeżdżały transporty z dziećmi z różnych stron Związku Radzieckiego. Niektóre dzieci, a także i wychowawcy, natychmiast jechali dalej: do swoich rodzin, krewnych i polskich sierocińców. Przykra i smutna była rozłąka z panią wychowawczynią, która kiedyś w Namanganie

chciała mnie adoptować. Rozstałem się czule i przyjaźnie z bardziej rośłym i silniejszym kolegą, którego zaatakowałem i pokonałem w wagonie, gdy zabrał mi jakąś rzecz. Na najbliższym postoju ten kolega wezwał mnie na pojedynek na pięści. Bardzo wtedy ucierpiałem fizycznie i psychicznie – na oczach dużej grupy męskiej części Sierocińca. Wkrótce z naszego Sierocińca pozostało tylko kilku chłopców. Trzymaliśmy się razem, wspieraliśmy się, a niekiedy wspólnie walczyliśmy z dziećmi należącymi do innych sierocińców. Nie miałem żadnej wiadomości o moich rodzicach, Marysi i krewnych. Dlatego spędziłem w Domu Rozdzielczym przeszło dwa miesiące.

Otrzymałem w baraku łóżko do spania. Chodziłem z blaszaną miską do Punktu Pomocy po zupę. Jedną porcję zupy zjadałem na miejscu, a drugą niosłem do baraku, by pod łóżkiem przechować „na później”. Zasadniczo jednak pożywienie trzeba było zdobywać własnymi sposobami. W pobliskiej małej rzece łowiłem rybki na haczyk, który zrobiłem z agrafki. Jadłem je na surowo. Do lasu chodziłem na tzw. zajęczą kapustę i na czarne jagody. Często przynosiłem z lasu kleszcze, które sam wyjmowałem. Jednakże nie przestawałem żyć w radości, ponieważ byłem już w Polsce. I tu 6 czerwca 1946 roku ukończyłem 12. rok życia – wchodząc w okres dorastania. Dokonało się prawie niezauważalne przejście z dzieciństwa do młodości.

We wrześniu 1946 roku skierowano mnie do Przeciwgruźliczego Sanatorium dla Dzieci w Rabsztynie koło Olkusza. Było to sanatorium położone w lesie sosnowym. Miałem tu spędzić pół roku życia w cudownej, wymarzonej, dostatniej Polsce. Tu spotkałem pięknych ludzi: jakby nie z tej ziemi, ale wprost z nieba. Był to ks. kapelan, siostry zakonne, przejęci swoim powołaniem świeccy wychowawcy i anielsko dobre dzieci. Tu jedzenie było tak dobre, jakiego nie mógłbym sobie przedtem nawet wyobrazić. Tu przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą po zadziwiająco gorliwym ze strony ks. kapelana przygotowaniu, które wprowadziło mnie głęboko i bardzo na serio w życie chrześcijańskie. Tu przyjąłem sakrament bierzmowania. Tu rozpocząłem i ukończyłem klasę III. Tu byłem umiejętnie i atrakcyjnie

wprowadzany w zasady patriotyzmu i miłości ojczyzny – przez wychowawców świeckich, byłych oficerów Armii Andersa. W sanatorium od września 1946 roku do marca 1947 roku doświadczyłem tak głębokich, twórczych i uszczęśliwiających spotkań, że dla tych doznań i chwil warto było znosić dotychczasowe wieloletnie udręki i cierpienia.

Dzięki intensywnej i skutecznej działalności powojennej PCK zdobyłem adres zamieszkania moich rodziców i siostry, a rodzice dowiedzieli się o miejscu mojego pobytu. Na początku 1947 roku otrzymałem od ojca list, w którym informował mnie, że zamierza przyjechać po mnie. Odpisałem szybko, aby jeszcze nie przyjeżdżał, bo tu jest mi tak dobrze jak w niebie. Jednakże na stanowcze wezwanie dyrektora sanatorium – ojciec przyjechał do mnie w marcu 1947 roku.

Gdy przy wyjeździe z sanatorium w pociągu zmierzającym do Jeleniej Góry pasażerowie postawili mi pytanie: „Kim chcesz zostać?” – odpowiedziałem bez wahania: „księdzem kapelanem”. (Później, w latach od 1957 do 1963 studiowałem w Biskupim Seminarium Duchownym w Gdańsku Oliwie, ale święceń kapłańskich nie otrzymałem z powodu braku odpowiedniego zdrowia.)

W marcu 1947 roku przyjechałem do Jeleniej Góry, gdzie spotkaliśmy się: mama, ojciec, Marysia i ja. Przyjęto mnie do klasy IV, gdzie ze wszystkim byłem do tyłu. Ale już w kl. V miałem same piątki. W 1954 roku uzyskałem świadectwo maturalne Liceum Ogólnokształcącego w Jeleniej Górze ze specjalnym wyróżnieniem, co otwierało mi uprzywilejowaną drogę na wszystkie uczelnie w Polsce. Ostatecznie zostałem psychologiem, nauczycielem akademickim w KUL w Lublinie i doszedłem do stanowiska profesora.

Tak więc mimo trudnych, tragicznych i niesprzyjających sytuacji różne osoby uratowały mnie od zagłady i „wykierowały na ludzi”: najbardziej i wszechstronnie matka, która nie ukończyła żadnej klasy szkolnej; ojciec, który ukończył w dzieciństwie trzy klasy szkoły podstawowej, a czwartą w Armii Andersa; wychowawczynię z domu dziecka oraz nauczyciele

kolejnych szkół. Nie jestem w stanie odwdziżyć się im. Być może nie są już w stanie przyjąć ode mnie czegokolwiek. Z sercem więc dziękczynnym otrzymane dobro przekazuję innym, a zwłaszcza młodzieży akademickiej.

Dziś dostrzegam także jasne promienie ponurego zesłania. Wszak gdyby nie zesłanie, to najprawdopodobniej pozostałbym na wsi białoruskiej. A dzięki zesłaniu i dalszym kolejom życia zostałem nauczycielem akademickim. Oprócz tego: jeżeli spotkała mnie łaska cierpienia zesłańca, a raczej dziecka zesłańców, pieczołowicie przez nich chronionego (mam na myśli nie tylko rodziców, ale także inne osoby dorosłe) – to wyrażam podziękowanie, a pozytywne owoce tego cierpienia przekazuję innym.